

## Eksmisje polskich rodzin przy okrzykach: wynocha polskie, brudne świnie !

W 2012 r. Urząd m.st. Warszawy wydał decyzję o zwrocie prywatnym właścicielom ponad 30 kamienic. Wykonano 453 eksmisje. Do wykonania wciąż pozostało 1157.



Do takich sytuacji społeczeństwo już przywykło, ale eksmisje zostały ostatnio wzbogacone o szykanę dodatkową.

Kto na to pozwala i rozzuchwala "nowych właścicieli"?

Otóż, jak wyżej krótko a niżej szczegółowo opisano, eksmisje są realizowane planowo według harmonogramu: eksmisja wykonywana jest zawsze w obecności komornika i asyście policji i straży miejskiej, czyli przedstawicieli prawa, którzy powinni zapewnić "egzekwowanie prawa zgodnie z przepisami".

Ostatnie spektakularne eksmisje w których uczestniczył również dziennikarz, odbywają się w atmosferze poniżenia i szykan.

Podczas eksmisji na warszawskiej Pradze wśród mundurowych i urzędników pojawiają się osoby – bliżej nie zidentyfikowane – przedstawiciele nowych właścicieli (??), którzy w czasie czynności wyrzucania rodzin wznoszą okrzyki:

### **Precz polskie świnie, wynocha! Brudne Polaczki!**

Co ciekawe – w stosunku do tych osób przedstawiciele prawa nie interweniują. Kim zatem są owe osoby? Kto wprowadził, najwidoczniej legalne szykany do procedury eksmisyjnej? Dlaczego przedstawiciele mediów nie opisali tych zajęć?

Czy to już jawna i otwarta wojna?

\* \* \*

Kamienice pustoszeją. Przejmowane, wyburzane. W niektórych ostatni lokatorzy – w trakcie wyprowadzki, w oczekiwaniu na eksmisję, w długach.

Walizki. Jan pakuje walizki. Na dół wózka kładzie tę największą, skórzaną. Na górę i do środka kilka mniejszych. Układa je piętrowo, jak matrioski. Wózek jest zwykły, jak na zakupy, tylko kółka dorobił mocniejsze, żeby nie padły po drodze. Gdy za minutę piąta wsiądzie do tramwaju, szarpnie lekko do góry, kółka wejdą i już będzie w środku. To jeszcze nie wyprowadzka. Mieszkanie socjalne ciągle w remoncie. Jeszcze z miesiąc przyjdzie poczekać. Na razie

Jan jeździ na Koło, warszawski targ staroci. 15 m płotu obwiesza różnymi rzeczami. To jego stoisko. Kiedyś sprzedawał tylko skarby znalezione na śmietnikach, przyniesione przez kolegów. Ostatnio wyprzedaje to, co zbędne, co nie zmieści się w nowym mieszkaniu. Najchętniej sprzedałby wszystko i zostawił tych parę rzeczy, do których jeszcze jest sentyment. Poduszczykę na igły, którą córka Agnieszka uszyła w drugiej klasie, ponadstuletni zegar, co ma duszę i pozwala się nakręcić jedynie jego ręką. Sprzedałby wszystko i dalej robił to samo. Tylko od początku.

Co weekend, o świcie, Jan wychodzi z wózkiem z kamienicy przy ul. Sierakowskiego na warszawskiej Pradze. Drewnianymi drzwiami od podwórka – tylko tędy jeszcze można. Za sobą zostawia okna zabite dechami, zamurowane wejścia, drewniane daszki, omszałe, chroniące od spadającego tynku. Wszyscy myślą, że to pustostan, a przecież tam w środku jeszcze Jan z rodziną. Z dużą rodziną.

Klatka. Jan ma 54 lata. Tyle samo ma żona Jadwiga. Pięcioro dzieci, pięcioro wnuków. Najstarsi poszli już na swoje. Córka Agnieszka pracuje dorywczo jako fryzjerka. Syn Marcin przy rozbiórcie domów. Czasem mieszka tu siedem, czasem osiem osób. Jadwiga od początku. Warszawianka od trzech pokoleń. Prażanka. Tu, na tych 54 m, się wychowała. Rodzice dostali mieszkanie w latach 50. W czynnie społecznym odbudowywali Warszawę. Kamienica zabytkowa, z 1863 r., kiedyś Gimnazjum Praskie, w którym uczył się Janusz Korczak. Jeszcze za młodości Jadwigi była brama główna wjazdowa, na pierwszym piętrze w głębi aula, w oknach, zamiast zwykłych zamków, syrenki. Do niedawna nawet szkolny dzwonek wisiał na frontowej ścianie. Teraz wisi już tylko na zdjęciu w Internecie.

Gdy w latach 80. sprowadził się tu Jan, wszystko sami remontowali. Raz siedzą przy niedzielnym obiedzie, patrzą, a tu sufit leci. Teść ledwo zdążył złapać za stół i odsunąć. Jan podparł potem sufit belkami, drewnem wyłożył. Mieszkanie w drewnie jest cieplejsze. Dobudowali łazienkę, wymieniali rury. Jan wymyślił pawlacze i antresole z łózkami pod sufitem. W sam raz, jak córki zaczęły rodzić wnuki.

Że kamienica od dawna jest przeznaczona do rozbiórki, dowiedzieli się przypadkiem, gdy starali się o wykup mieszkania. Nic z tego, usłyszeli, ale dostaniecie w zamian inne. Potem była cisza. Wreszcie usłyszeli, że w miejscu, gdzie mieszkają, stanie obiekt konferencyjno-hotelowy i że czynsz płacą już komu innemu. Spółce Elektrim, która w 1999 r. została właścicielem terenu wokół Portu Praskiego w zamian za sfinansowanie budowy mostu Świętokrzyskiego. Za ich oknami rosły powoli przyszłe apartamentowce i bulwary. Czynsz też rósł, z 2 do 12 zł. Sąsiedzi się powynosili. W końcu zostali tylko oni. I jeszcze tacy jedni na górze, ale z nimi dogadać się nie można. Dla Jana z rodziną zaczęły się problemy. Teraz Jan wie, że nie tylko dla nich. Ludzi – mówi – jak króliki w klatkach, razem z domami oddają.

Schody. Na Hożej 7 w Śródmieściu dopiero niedawno się dowiedzieli. W kwietniu przyszło pismo z administracji, że odnalazł się spadkobierca dawnego właściciela, kamienica została przekazana, a pełnomocnik zawiadamia o trzykrotnej podwyżce czynszu. Skąd ten spadkobierca, zastanawia się pani Danusia. Przecież pamięta, jak po wojnie zaglądał tu jeszcze dawny właściciel z Milanówka. Nie miał ani żony, ani dzieci. Z tych nerwów i zastanawiania się pani Danusia schudła do 37 kilo. 82 lata, najstarsza lokatorka w kamienicy. W makijażu, klipsach i jedwabnym szlafroku. Mówi, że na wygląd trzeba sobie zapracować.

Pani Danusia na swój pracowała całe życie. Do 1940 r. z rodzicami mieszkali na Grzybowskiej, ale potem stanął mur getta, należało zamieniać mieszkania. Tutejsza rodzina poszła tam, a oni na ich miejsce. 70 lat minęło, wyrabiała wtyczki do samolotów w fabryce w Niemczech, urodziła dziecko, pochowała dwóch mężów, modliła się w bramie pod aniołkiem, którego potem ktoś gwizdnął, i w końcu została sama na 30 m. Czasem córka ją odwiedza, ale pani Danusia jest samodzielna, nie chce niczyjej pomocy. I za nic nie chce się stąd wyprowadzać. Schodzi teraz ostrożnie po drewnianych schodach, którymi jako dziecko zbiegała, wysyłana przez mamę, żeby zanieść gospodarzowi komorne. Teraz też, mimo że emerytura niewielka, pani Danusia będzie płacić. W sumie 600 zł podwyższonego czynszu plus za ciepłą wodę i ogrzewanie drugie tyle. Gdyby nie płaciła, nie mogłaby rano spojrzeć w lustro. Sąsiadki, pani Ewa i Hania, kiwają tylko głowami. To już nie z tej epoki, pani Danusiu. Pewnie nas wyrzucą w końcu, ale my płacić więcej nie będziemy.

Umowy. Płacić więcej, za co? Przecież budynek w złym stanie był, w złym jest i teraz. Tynki, samodzielnie przez panią Hanię kładzione, odpadają od grzyba w ścianie, trzeszczą spróchniałe deski pod wykładziną w korytarzu, ciepło ucieka nawet przez wełniany koc, zawieszony w przedsiionku u pani Ewy. Pani Hania i Ewa wiedzą, że ten ich czynsz to i tak jeszcze nie najgorszy. U sąsiadki z Wilczej właściciel pojawił się trzy lata temu, czynszu zaśpiewał 3,5 tys., sprawa o zadłużenie ciągnie się w sądzie. Po cichu sąsiadka mówiła, że jak komornik zapuka, to ona będzie skakać z okna. Więc nie najgorszy ten ich czynsz, ale z drugiej strony, miały umowy z miastem i tak po prostu ich przekazali?

Pani Ewa – na emeryturze, kiedyś pracowała w banku, mieszkanie na Hożej zajęła po cioci, warszawskiej gorseciarce, która wynajęła je jeszcze przed wojną. Pani Hania – plastyczka po ASP w Warszawie, zaraz po studiach, w 1994 r. wynajęła dawny zakład dziewiarski w podwórku, po dwóch latach remontu urządziła sobie pracownię z aneksem mieszkalnym. O prawie lokalowym nie miały wcześniej pojęcia. Gdy przychodziły pierwsze pisma, słowo po słowie sprawdzały w Internecie. W segregatory wkładały wszystko – tu podania, tu odpowiedzi, tu uchwały, tu zdjęcia. Jakoś tak się złożyło, że w kamienicy one dwie głównie starają się czegoś dowiedzieć. Inni się boją, zamknęli się po domach. A niektórzy już zaczęli się wynosić. Jako pierwsza, rodzina z dziećmi do domku na działce w Zalesiu. Potem młody adwokat z żoną – pewnie mieli, żeby wynająć albo kupić coś innego. Pani Hania w sumie też pierwsze, co zrobiła, to poszła do banku zapytać o kredyt. Ale w jednym miejscu ma umowę śmieciową, w drugim ćwierć etatu i od czasu do czasu zlecenia. Który bank da takiej kredyt? A pani Ewa się dowiedziała, że podobno przysługuje jej limit dochodu 2800 zł, żeby dostać mieszkanie socjalne. Jako samotna emerytka łapałaby się. Ale to dopiero, jak nabiera trzy pełne czynsze długu. Wtedy wymówią jej umowę najmu i sprawa pójdzie do sądu. Ten stary czynsz na razie jednak płaci. Może parę miesięcy jeszcze przetrzyma.

Ostatnio z ciekawości poszła na eksmisję. Tę głośną, po sąsiedzku, przy Hożej 1.

Eksmisja. Na eksmisję lokatorki z kamienicy przy Hożej 1 pani Ewa przybyła dość późno, około 10. Byli tam już dziennikarze wszystkich mediów, grupy anarchistów, squattersów i ich bliżej nieokreśleni sympatycy, działacze stowarzyszeń obrony lokatorów z megafonami, politycy obiecujący pomoc, trąbiące w korkach samochody, osiem radiowozów policji i jeden straży pożarnej. Elegancki pan w garniturze mijał eksmisję w drodze do kościoła, przystanął przez solidarność. Urzędnik państwowy, też w takiej sytuacji. Mieszka niedaleko, w kamienicy na Kruczej. Nie wie, skąd wzięli się właściciele. Od razu podnieśli czynsz o 400 proc. Wiele rodzin już się wyprowadziło, bo ich nie stać. On jeszcze jest, płaci połowę.

W tłumie zaplątał się też pan Teodor na rowerze. 80 lat, ale jeszcze w formie. Dlatego, że nie pije i nie pali, to nie ta droga do nieba. On już po eksmisji. Na Wspólnej miał trzy pokoje z kuchnią. Płacił 700 zł, a chcieli 1200. Co miał zrobić, że nie miał tyle. Dali inny lokal, na Poznańskiej. Ale to nora, nie mieszkanie. Zimno czasem, aż ciarki przechodzą. Boi się, że ślepoty już całkiem od tego zimna dostanie. Starych drzew się nie przesadza, bo uschną, zakrzyknął pan Teodor i odjechał.

Między kordonami policji przemykała z bułkami w siatce pani Lipiecka. Razem z mężem mieszkają piętro nad eksmitowaną. Płacą 2,5 tys. zł za 90 m. Płacą, bo jeszcze mają pieniądze. No i wygrali w sądzie sprawę o unieważnienie zadłużenia lokalu. Ich na razie eksmisja nie czeka. Chociaż policjant, który kierował akcją, powiedział, że wszyscy powinni się jej spodziewać. Jeszcze kilka lat temu było tu 14 lokatorów. Teraz zostało czterech. W tym oni. Do kamienicy przyszli na początku lat 90. Załatwili zamianę mieszkania. Trzy lata to trwało. Musieli poczekać, aż najpierw wyrzucą lokatorkę, która bezprawnie zajmowała lokal przed nimi.

Opowieść państwa Lipieckich przerywa policjantka. Funkcjonariusze ani administrator nie mogą dotykać mebli podczas eksmisji, mówi. Pan by nie pomógł?

Pustostan. Żona Jana Jadwiga stoi nad parującym mięsem z cebulą. Matko Chrystusowa. Tu się sprzątać nie chce, tu nic nie chce się już robić. Szafki kuchenne powoli zaczyna opróżniać do kartonów. Zbrzydło jej już to mieszkanie. W ciągu 14 miesięcy mieli cztery pożary w piwnicy. Ostatni w październiku zeszłego roku. Pod belki kantówki ktoś wsunął kartony. Gdy rano Jan wychodził na Koło, zobaczył dym. Zanim straż pożarna przyjechała, sam latał z wodą, gasił pożar. Innym razem w piwnicy stały butle gazowe wsadzone w opony, obłożone śmieciami. Jan zrobił zdjęcie komórką. Administrator tłumaczył, że to pewnie bezdomni urządzili sobie grilla. Każdy z pożarów to jakby przez komin przeszli, i oni, i mieszkanie. Zresztą ich i tak jakby już nie było.

Niby kamienica grozi zawaleniem, a ciągle kręcą tu filmy. Najpierw „Ciacho”. Jakaś aktorka stała na klatce, akurat była scena bójk. Całe szczęście, że Jan trzymał nogą drzwi, bo tak walnęła, że by mu do sieni w walizki wpadła. A wieczorem, na zachodniej ścianie, zrobili wybuch potężny. Potem Jan nawet obejrzał „Ciacho”, ale nie zrozumiał, jakie to miało znaczenie w filmie. Była też ekipa od „Stawki większej niż śmierć”. Na piętrze nad nimi jakieś szopki wyczyniali, walili, że sufit mało nie zleciał. Ten, który Jan tak elegancko drewnem wyłożył. Córka wyszła, co wy robicie, my tu na dole mieszkamy. No jak to, zdziwiła się ekipa, dostaliśmy pozwolenie, tu przecież jest pustostan.

Jan z rodziną miał dług wyliczony na 60 tys. zł. Za niepłacenie czynszu właścicielowi. Ale sąd zasądził, że należy się tylko 10 tys. Co miesiąc z pensji syna komornik ściąga 200 zł. Tylko syn ma stałą pracę. Żona Jadwiga na jedną ósmą etatu, dorabia fuchami, sprzątaniami. Do opieki społecznej nie pójdzie, nie będzie się prosić, wystawać w kolejce. Młodsze córki porodziły dzieci, szkoły nie udało się im skończyć. Zarejestrowane w pośredniku, ale

stamtąd to nikt jeszcze pracy nie dostał. Jan jeździ na Koło, ale przecież nie założy działalności. Nie miałby nawet na regularne składki. Wcześniej było lepiej. Przez wiele lat prowadził ze współnikiem pawilon z elektroniką przy Pańskiej. Najpierw na ulicy, potem w czterdziestu wykupili stoiska i założyli mały bazar. Ale w połowie lat 90. musieli się wynosić. Działka miała pójść pod apartamentowce. Teren kupił Elektrim.

Księgi. Pani Hania z Hożej co miesiąc, od kwietnia, ma ból żołądka, że nawet ketonal nie pomaga. Jakiś czas temu kupiła nowe deski na podłogę do sypialni i materac. Deski ciągle leżą w paczkach, a materac między deskami. Zrobi i na ile to wystarczy, jak jeszcze trochę i trzeba będzie się wynosić? Zamiast tego znów zerka do Internetu. Weszła w księgi wieczyste. Umowa przedwstępna sprzedaży ich kamienicy. Szybko poszło. Zaledwie kilka miesięcy. Od przekazania przeszli w zbycie.

Walizki. Po weekendzie na Kole Jan przez cały poniedziałek jest nie do życia. Przysiadzie na zrolowanej wykładzinie na korytarzu przed swoimi drzwiami. Zapali papierosa. Popatrzy w górę. Drewniane schody, słońce wpada przez zakratowane okno. Popatrzy w lewo. Pudła stoją, prawie gotowe na wyprowadzkę. Popatrzy do sieni, w prawo. Po sufit walizki.

---

Autor: Marucha

Przedruk ze strony: <http://marucha.wordpress.com/>

Artykuł pobrano ze strony [eioba.pl](http://eioba.pl)